ZYGMUNT

WRÓBLEWSKI.

Mowa, miana na jego pogrzebie

przez

J. Rostafińskiego.

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI „CZASU“ FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1888.

ZYGMUNT
WRÓBLEWSKI.

Mowa, miana na jego pogrzebie

przez

J. Rostafińskiego.

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI „CZASU" FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1888.

Odbicie z „CZASU“ z Nru 91 z dnia 20 Kwietnia 1888 roku.
Nakładem Redakcyi.

Można stać, bez serdecznego bólu, nad zwłokami człowieka, który doczekał się plonu swojej pracy, można stać ze spokojem nad grobem tego, który schodzi z pola walk i trudów, syt lat i chwały — ale jakże oddać, jak wyrazić, jak wypowiedzieć żal, który nas przejmuje na widok śmierci, poczętej nagle na człowieku, będącym w doskonałej sile swojej, gdy zewsząd był bezpieczny i spokojny; gdy, po twardym żywocie, pełnym pracy i znoju, niósł już posiew zdobytej nauki między młodszem pokoleniem; gdy już zaczął zbierać plon wiedzy do skarbnicy ludzkości; gdy piętrzył go, ze zdumiewającem wytężeniem sił, na wszechświatowy rozgłos Uniwersytetu, którego był członkiem, na chwałę narodu, który go wydał.

Ale przemawiając nad temi marami przyjaciela, kolegi i znakomitego uczonego, nie potrzebuję się silić na oddanie tego żalu, bo rozumieją go wszyscy, którzy przyszli tu oddać mu ostatnią posługę, wszyscy, którym chwała naszego Uniwersytetu i jego pomyślny rozwój są drogie, bo podziela go całe miasto, bo odczuwa go cała Polska, jak długa i szeroka.

Nie mam zamiaru oceniać i rozbierać naukowych prac zmarłego, wyliczać wszystkie tryumfy, jakie na tem polu odnosił. Właściwszy głos uczyni to z czasem z pewnością lepiej, niżbym ja to potrafił. Tylko jako przedstawiciel Uniwersytetu, którego zmarły był członkiem, chcę, w krótkim zarysie, podać obraz tego pracowitego i zasłużonego żywota, który jak świetny meteor zabłysnął na naszym horyzoncie wielkim blaskiem, widzialnym na szerokiej przestrzeni cywilizowanego świata, i zgasł, zostawiając powszechny żal, że tak przelotnie tylko zaświecił.

Skoro przed czterdziestu trzema laty rodził się w Grodnie 28 października, mogłoby się zdawać, że wróżki życia chcą mu słać drogę żywota nie gruzem a uległą ziemią, bo brał po przodkach nieskażone nazwisko, a choć w domu wielkiego dostatku nie było, to przecież był to dom zamożny w cnotę, a serce niepospolitej matki mogło starczyć za wielkie skarby.

Chłopiec był nietylko zdolny ale i pilny, więc rokował najpiękniejsze nadzieje. Już w siedmnastym roku ukończył też gimnazyum, i to tak świetnie, że otrzymał przytem srebrny medal. W rodzinnem mieście nie było uniwersytetu. Litewska młodzież podążała wówczas powszechnie do Kijowa i on tam się znalazł. Zapisał się na wydział matematyczno-przyrodniczy, z celem studyowania fizyki, której pozostał wierny aż do tej grobowej deski, która go za chwilę pokryje.

Ale rok, w którym przybył na uniwersytet, nie był rokiem spokojnej organicznej pracy. Był to rok, w którym wszystko, co gorące, wszystko, co zacne, wszystko, co czuło i myślało, biegło nawet ze szkolnych ław na pole nie duchowych zapa-

sów z przemocą. I on stawił się na dane hasło, i on podążył tam, gdzie ojczyzna wiernych synów wzywała, a rychło pochwycony i uwięziony, został potem wywieziony na Sybir.

Sześć lat tam pozostawał.

Co za straszny los dla człowieka łaknącego wiedzy: znaleść się nagle na zapadłej mroźnej północy, być odciętym od wszystkiego co się wiedzą nazywa, zmuszonym do zarabiania całodzienną pracą na kawałek nędznego chleba, i tylko wieczorem mieć chwilę czasu, by przy słabym kaganku dogorywającego płomienia szukać umysłowego pokarmu.

Duch był twardy i nie złamał się w tych zapasach z losem. Ale zesłanie to podkopało już na zawsze jego zdrowie, a wzrok pod wpływem śnieżnego całunu, zalegającego tam ziemię przez większą część roku, uległ groźnej chorobie.

Skoro w r. 1869, wskutek ogólnej amnestyi, powrócił do kraju, był już zagrożony ślepotą. Wyjechawszy do Berlina, musiał się przedewszystkiem poddać ciężkiej operacyi. W pół roku dopiero wyszedł z klinicznej ciemnicy na dzienne światło, a lekarz zapowiedział mu przytem, że przez kilka lat, pod grozą utracenia na zawsze wzroku, nie powinien nic czytać ani pisać.

Kto wobec tego byłby znalazł dość hartu, żeby pójść dalej raz obraną drogą uniwersyteckich studyów? Kto zdobyłby się na żelazną wytrwałość, żeby mimo to poświęcić się fizyce? zwłaszcza

wobec tego, że środki materyalne, jakiemi mógł rozporządzać, były więcej niż szczupłe.

A jednak on nie zawachał się, nie zwątpił, wytrwał i dążył pomyślnie do raz wytkniętego celu, kształcąc się kolejno w Berlinie, Heidelbergu i Monachium. Chodził najregularniej na wykłady, słuchał uważnie, pracował pilną tylko pamięcią, i w ten sposób uczęszczając nieraz dwukrotnie na ten sam przedmiot, nie mogąc ani notować, ani czytać w domu, przecież po upływie lat pięciu skończył uniwersyteckie studya, tak świetnie, że zdał doktorat *summa cum laude.* Wobec tego mimo woli nasuwa się zdanie Buffona, iż nawet geniusz nie jest czem innem, tylko wielkiem uzdolnieniem do cierpliwości.

Pierwsza praca, jaką w kierunku fizycznym u Helmholtza w Berlinie rozpoczął, nie dała mu żadnych owoców. Jeszcze na Syberyi, nie posiadając dostatecznego zapasu wiedzy, stworzył sobie teoryę powstawania elektryczności, którą chciał stwierdzić doświadczeniem. Sprawdzona, byłaby go niewątpliwie odrazu okryła sławą, ale polegała na mylnem założeniu, jakie często u niedouczonych ludzi powstają i okazała się błędną. Miała jednak ten skutek, że postanowił na przyszłość nie budować z góry urojonych teoryj, ale posiąść wpierw dostateczną wiedzę, zanim zacznie, na podstawie doświadczeń posuwać naukę naprzód. Fundament to dla każdego uczonego; jedyna podstawa dla naturalnego postępu wiedzy.

Dopiero w Monachium, już bogaty w naukę, zabrał się ponownie do laboratoryjnej pracy. Szła mu bardzo oporem, bo każdy temat wymagał znacznych pieniężnych środków, których mu nie dostawało. Musiał się zajmować nie tem, czem chciał, ale na co go stać było. Ileż razy opowiadał zaufanym z goryczą o tych czasach, w których pisywał bezimiennie nędzne artykuły do gazet tylko dla zarobienia na kawałek chleba.

Powołanie na asystenta do Strasburga, w rok po doktoryzacyi, postawiło go w nieco lepszych materyalnych warunkach; bardzo ich potrzebował, bo organizm niedostatkiem wielce był podkopany. Kto go znał tu, aniby chciał wierzyć, że wyglądał wówczas, jak szkielet.

Asystentura zajmowała mu dużo obowiązkowych godzin, wykłady docenta, którym został w rok po objęciu nowego stanowiska, pochłaniały niemało czasu. Na własne samodzielne prace niewiele go pozostawało i zawsze niewiele było środków. A przecież w tych twardych i wreszcie suchych warunkach już zdołał się odznaczyć tak, że nasza Akademia w r. 1880 udzieliła mu chętnie stypendyum Seweryna Gałęzowskiego, przeznaczone dla docentów, mających zamiar kształcić się na profesorów. Było ono bogate i pobierał je przez dwa lata. Teraz już należycie przygotowany, zetknął się z najznakomitszymi na polu prac fizycznych mężami Zachodu, pracując kolejno: w Londynie, Oxfordzie, Cambridge i Paryżu. Jedna praca wychodziła za drugą, wszystkie tak gruntowne i

poważne, że dały mu właśnie wakującą katedrę w Krakowie.

Nareszcie stanął u pierwszego celu marzeń. Tak to niedawne czasy. Wszyscy pamiętamy, jak przybył.

Są ludzie, których natura hojną obdarzyła dłonią. Są tacy, którzy mają ujmujące obejście, na których widok każda spotkana twarz się uśmiecha, każda ręka wyciąga przyjaźnie do uściśnienia podanej dłoni. Tego czaru nie posiadał. Wszystko mu szło opornie. Ale zyskiwał uznanie wszystkich wyższych umysłów tem, co wysoko ceni się w człowieku: niezmiernem zamiłowaniem przedmiotu i wytrwałą w niej pracą.

Znalazłszy bogaty gabinet, zgromadzony staraniem swego, zasłużonego dla naszej szkoły, poprzednika, mógł swobodnie zająć się stworzeniem pracowni fizycznej dla siebie i dla uczniów. Pamiętamy, jak gorąco wziął się do rzeczy, jak nie pomijał żadnej sposobności, żeby ją najrozleglej przeprowadzić. Jak umiał chodzić koło tego z właściwą sobie wytrwałością. Nie skąpił mu też rząd potrzebnych środków. Stanęła rychło dobra pracownia, w którą wkładał własne nawet oszczędności. To też zaczęła się sypać jedna praca po drugiej. Nie znał żadnego odpoczynku. Nieraz powtarzał, jakby w przeczuciu tego, co rzeczywiście niestety nastąpiło, że mu zaledwie kilka lat życia pozostaje, w których może jeszcze pracować.

Nietylko dla siebie pracował. Rychło skupił też uczniów, specyalnie oddających się fizyce, a ten święty ogień zapału dla nauki, którym był prze-

jęty, udzielał się naturalnie temu otoczeniu. Już wyszło z jego pracowni kilka prac i jej rozwój w tym kierunku zapowiadał się świetnie. Niewątpliwie byłby z czasem stworzył całą szkołę. Ale nawet w tych szerokich warstwach młodzieży uniwersyteckiej, która tylko jego wykładów słuchała, umiał zaszczepić zamiłowanie przedmiotu, które sam posiadał, bo prawdziwa nauka ma to do siebie, że przyciąga wszystkich, którzy tylko zdolni są ją pokochać. Gdzież szukać lepszego na to dowodu, jak w tym tłumnym orszaku pogrzebowym, tak przeważnie z uczniów jego złożonym, którzy chcieli w ten sposób, już po raz ostatni, oddać cześć zasłużonemu swemu mistrzowi.

Przystępował do wszystkich poszukiwań z tą przenikliwością badawczego zmysłu, z tą pewnością ręki i sądu, z tą ścisłością w szczegółach, z tym ładem i porządkiem, które są nieodzownemi warunkami każdego odkrywania prawdy.

Był biegły we wszystkich kierunkach swojej nauki. Nie ograniczał się w swych badaniach w jednym ciasnym zakresie. Dyfusya i własności elektryczne materyi, pochłanianie gazów, zjawiska włoskowatości — wszystko to wchodziło w zakres jego spostrzeżeń, ale najrozgłośniejszą sławę zjednał sobie skropleniem gazów.

Pamiętamy wszyscy żywo te czasy, w których nawet telegraf roznosił po Europie wynik doświadczeń, wykonanych w naszej pracowni fizycznej. Pamiętamy doskonale, że przypominał tym sposobem już nie specyalistom, zajmującym się pewną

gałęzią wiedzy, ale całemu może uczonemu nawet światu o istnieniu naszego starego Uniwersytetu; przypominał mu o tem, jak potężnie się dźwignął w ostatnich dwudziestu latach ku temu europejskiemu stanowisku, które poprzednio tylko w pierwszym wieku swego istnienia zajmował.

Czyż dziwno, że tak szczerze, tak gorąco, tak powszechnie opłakujemy jego stratę.

Jeszcze przed kilku tygodniami chodził zdrów wpośród nas. Wykończał pracę teoretyczną, owoc całego szeregu poprzednich badań. Gorączkowo nad nią pracował; spodziewał się w styczniu, że ją zakończy przed feryami, że wyjedzie potem do Włoch, iżby zażyć zasłużonego wywczasu. Przygotowywał się w chwilach odpoczynku dorywczemi studyami nad sztuką, żeby z podróży tej odnieść należyty umysłowy pożytek.

Stało się inaczej.

Nie wydążył z zamierzoną pracą na czas, projekt podróży odłożył. Znów jak zwykle po całych dniach i wieczorach, do późnej nocy, siedział w pracowni, zajęty ukochaną fizyką. Obok niej, prócz matki, nic na świecie tak gorąco nie kochał. Wobec poważnego majestatu śmierci można stwierdzić, iż to szczera prawda. Cały był oddany swej nauce. Nie znał milszych uciech, jak zajęcie się nią w pracowni. Nie znał ani domu, ani rodziny, ani nic, coby go od niej odrywać mogło. Jej poświęcał pierwszą i ostatnią myśl każdej doby. Jej ofiarą padł, jak żołnierz na wyłomie.

Wzrok nadwątlony Sybirem nie ochronił go od strasznego upadku; organizm, podkopany trudem żywota, nie mógł uratować ciała, tak okropnie dotkniętego.

Już go niema między nami.

Już oddajemy mu ostatnią posługę.

Niechże te stare berła uniwersyteckie, pokryte patyną wieków, które są symbolem Jagiellońskiej Wszechnicy, pokłonią mu się trzykrotnie na znak, że Uniwersytet umie cenić swoich wybrańców, że oddając mu w tej chwili szczególniejszą i wyjątkową cześć, zachowa w przyszłości imię jego we wdzięcznej pamięci.

A teraz nie płaczcie już przyjaciele, nie ubolewajcie koledzy, nie smućcie się wy wszyscy, którzy tu zgromadzeni jesteście.

Zawsze przejęty był jedną tylko myślą badania prawdy. Jej dokładniejszemu odkryciu poświęcał wszystkie chwile życia. Dla niej żył, dla niej pracował, dla niej zginął.

Teraz już stanął w wielkiem świetle przed rzeczywistym majestatem Prawdy i ogląda ją szczęśliwy w całej jej piękności.